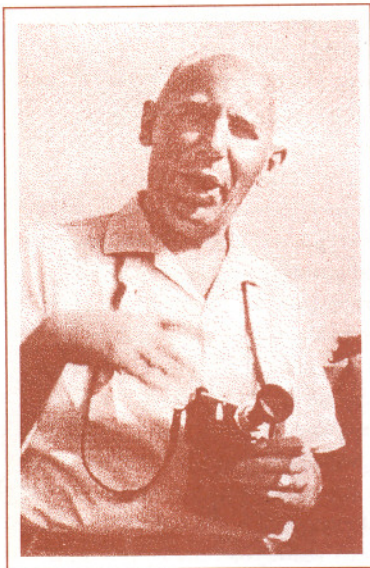


Roman Sikorski – spotkałem Mentora



Mój pierwszy kontakt z profesorem Romanem Sikorskim miał miejsce na czwartym semestrze studiów (w 1962 r.). Po dość przaśnym pierwszym roku, na którym uczono nas algebry liniowej (prawie cały rok wyznaczników i równań liniowych), geometrii analitycznej (nie wzbudzającej mojego entuzjazmu) i bardzo klasycznej analizy (wykładanej nudnawo według znanej książki Fichtenholza), na wykładzie z Analizy II pojawił się nowy wykładowca i teoria miary i całki Lebesgue'a! Z korytarzowych pogwarek wiedzieliśmy od starszych kolegów, że zarówno wykład, jak i wykładowca to coś całkiem innego. I rzeczywiście! Zafascynowała nas, tzn. ambitniejszych studentów, tematyka tego wykładu. Dzisiaj myślę, że były po temu dwa niezależne powody – pierwszy kontakt z nowoczesną matematyką i niezwykła osobowość wykładowcy. Z jednej strony jego wykłady były nienaganne pod względem formalnym – jeżeli dobierał „deltę” do „epsilon”, to na końcu dowodu był „epsilon”, a nie „epsilon” trzy, twierdzenia miały jasno sformułowane założenia i tezę, a skomplikowane dowody wydawały nam się naturalne i w pewnym sensie jedyne właściwe. Do tego nigdy (poza jednym zapamiętanym przez nas wyjątkiem – wzorów na jądra Fejéra) nie zaglądał do notatek. Z drugiej strony, profesor Sikorski wykladał uśmiechnięty i rozluźniony. W treść wykładu umiejętnie wplatał różne anegdotki i miał z nami doskonały kontakt. Był to naprawdę przebieg sezonu.

Po drugim roku podzielono nas na sekcje i profesor Sikorski został naszym (tzn. sekcji teoretycznej) opiekunem. Z przyjemnością chodziliśmy na jego wykład o funkcjach rzeczywistych i znowu było to połączenie niebanalnych treści z doskonałą formą. Wykłady, już w znacznie mniejszej grupie, od początku odbywały się w atmosferze rodzinnej. Wszyscy byliśmy pod jego urokiem jako człowieka i jako matematyka – kolejność nieprzypadkowa. Nazywaliśmy go Romanem lub Romusiem. Był nie tylko naszym nauczycielem, ale także niezwykłym przyjacielem. Zapraszany na nasze studenckie prywatki, siadywał dostojnie, a przynajmniej tak nam się wtedy wydawało, w najwygodniejszym fotelu w mieszkaniu i, sącząc kawę, prowadził interesujące konwersacje z tymi, którzy mieli na to ochotę, niezrażony otaczającym go hałasem. Z jego opowiadań dowiadaliśmy się o szerokim świecie. O zwyczajach panujących na amerykańskich uniwersytetach, o kalifornijskich dzieciach-kwiatach, o życiu codziennym w innych krajach. Niezwykle imponował nam swoim doświadczeniem światowego bywalca (była to pierwsza połowa lat 60.), a także przywiezionymi z tych wojaży dwoma izomorficznymi samochodami. W tym kontekście warto przytoczyć (prawdziwą) historyjkę.

Uwierzą mi Państwo, że na prywatkach konsumowaliśmy alkohol w „nadmiarze”. W przeciwieństwie do nas Profesor nigdy nie brał do ust niczego, co zawierałoby jakikolwiek ślad alkoholu. Wszystko, co dobre, ma swój (górnny) kres, więc gdzieś po północy powstawał problem powrotu do domu. Wielokrotnie profesor Sikorski, który zawsze głosił swoją słabość do wszystkiego co piękne, a zwłaszcza do płci pięknej, w niezwykle przez nas docenianym geście proponował rozwiezienie po domach kilku koleżanek. Po jednej z takich okazji opowiadał nam, całym zdarzeniem widocznie wstrząśnięty, jak to w drodze powrotnej do domu został zatrzymany do wrywkowej kontroli przez milicję. Gdy tylko otworzył okno w samochodzie, w twarz milicjanta buchnęły opary alkoholu pozostawione przez nasze koleżanki. Milicjant, pewny, że złapał pijanego kierowcę, kazał mu dmuchać w balonik. Balonik oczywiście niczego nie wykazał. Milicjant nie mógł uwierzyć

wyjaśnieniom składanym przez kierowcę, a wiedząc z dokumentów, że ma do czynienia z profesorem, skomentował: „ci uczeni zawsze coś wymyślą” i zabrał go do szpitala na badanie krwi. Opowiadanie Profesor zakończył groźbą, że od tej pory będzie rozwoził do domu wyłącznie abstynentki.

Była to bardzo dziwna komitywa nobliwego członka PAN z rozwichrzoną grupą studentów. Widzieliśmy, że współdziałał w naszym życiu studenckim (potem asystenckim) sprawia mu przyjemność, a nam mile leżało próżność, że tak wybitny matematyk nie uważa tego za stratę czasu. Mianowaliśmy go honorowym prezesem Klubu Miłośników Romana Sikorskiego i wręczyliśmy mu dyplom z naszymi podpisami i „pieczętkami” w postaci odcisków grubo wyszminekowanych warg koleżanek. I choć nigdy nie komentował naszego zachowania, a tym bardziej nas nie pouczał, każdemu bardzo zależało, by dobrze wypaść w jego oczach. Swoim zachowaniem, bez słów, ustalał standardy, a my staraliśmy się im dorównać. Dotyczyło to także matematyki. Tutaj norma była wyjątkowo wysoka. Odpowiedzią na perfekcyjny technicznie i merytorycznie wykład miało być takie samo przygotowanie do egzaminu. By egzaminowany wiedział, że piątka jest zasłużona, a nie postawiona na zasadzie – dobry student – niech ma, należało odpowiadać bez wysiłku, na luzie, mówić płynnie, pisać czytelnie pełne sformułowania twierdzeń, z łatwością prezentować wszystkie szczegóły dowodów, dokładnie stosować wszelkie konwencje notacyjne, a do dobrego tonu należało, by dodać odpowiednią anegdotę z wykładu. Kosztowało nas to wiele pracy, ale taka była cena przynależności do Klubu i nie uważaliśmy jej za wygórowaną!

Kiedy zostałem jego asystentem, na jednej z kolejnych prywatek (tzn. posiedzeń Klubu) dostałem kotylion z napisem: „Cóż z Piotrusia bez Romusia?” – który przechowuję do tej pory. Patrząc wstecz, widzę, że miałem szczęście. W odpowiednim momencie spotkałem Mentora, w najlepszym znaczeniu tego słowa, któremu pewnie więcej zawdzięczam jako człowiek, niż jako matematyk. A jako matematyk zawdzięczam niemało.

Piotr MANKIEWICZ